



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Kalao i perlice, ptaki z Kongo.

Ptaki w Kongo.

Okazy z historyi naturalnej, przywiezione przez znakomitego podróżnika naszego, prof. Dybowskiego z Kongo, mogą dać wyobrażenie o bogactwie fauny ornitologicznej tamtych stron. Zbiory słynnego naturalisty obejmują więcej jak paręset gatunków różnego rodzaju ptaków, świadczących jednocześnie o bujnej vegetacji i różnorodnych warunkach gruntu podzwrotnikowej strefy.

Dążąc nad brzegi jeziora Czad prof. Dybowski zapuścił się w głąb Afryki, przebywał kolejno nagie, skaliste okolice, lub doliny porośnięte wysokimi trawami i lasami palmowymi. Wyszedłszy ze wspaniałej puszczy Mayombé z jej gąszczem drzew okrytych lianami, nasz podróżnik przechodził stępy i wyniosłe płaskowzgórza, pływał po rzece tworzącej jezioro Stanley-pool, grzązł po bagnach, przedzierał się przez bambusowe lasy z pniami drzew, wysokimi na ośmnaście metrów, a wszędzie gromadził okazy do cennych zbiorów swoich. Trudno byłoby wyliczać wszystkie gatunki ptaków tamtej strefy, ograniczyć się musimy tylko na wzmiance o tych, które kolorem piór i budową ciała najwięcej do znanych nam europejskich okazów są zbliżone. Pominąwszy śpiewające sokoły, wspomniemy tylko o *Gypohierax angolensis*. Drapieżny ten ptak powierzchownością przypomina sępa, z czerwoną obwódką w około oczu i dzioba, obnażoną z piór szyją, żywi się świeżym mięsem, a jego ojczyzną są wschodnie wybrzeża Afryki. Do drapieżnych ptaków także zaliczają Scotopelis'y należące do gromady pułaczy.

Papug niewiele odmian spotkać można w Kongo; prócz zwykłej papugi szarej jest jeszcze zielona, z czerwonymi na czole i na skrzydłach piórami. Dzieciół tamtejszy nie różni się od naszego ani wielkością, ani świetnością barw. Krętogłów, ów osobliwy ptaszek, który nastraszony, ma zwyczaj najeżywszy piórka, kręcić głową na wszystkie strony, spędzając u nas ciepłą porę roku, pod koniec lata wędruje na południe; widywano go w Marokko, Algerze, Abisynii, Senegalu i przekonano się, że podróże jego sięgają aż do Kongo. Kukulek znajduje się tam wiele gatunków, zacząwszy od kukulek o brązowym i złocistym połysku tak poszukiwanych do stroju, aż do pospolitych u nas rodzajów.

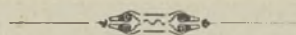
Osobliwością wśród nich są zauważone przez prof. Dybowskiego, zwane przez kolonistów holenderskich *Honingwyzer*, które krzykiem swoim usiłują zwrócić na ziebie uwagę myśliwego, a fruując przed nim, doprowadzają go do barci z miodem, pragnąc podzielić z nim swą zdobycz.

Ptaki te niezmiernie są łakome na jaja i larwy pszczoł, a gdy nie mogą posilkować się człowiekiem, dla otrzymania pożądanego przysmaku, posługują się gatunkiem borsuków, które polują również na owady skrzydlate.

Ze zbiorów prof. Dybowskiego wnosić można, że w tamtych okolicach żyje dużo gatunków ptaków, należących do grupy zimorodków, niektóre żywią się raczej drobnymi gadami i owadami, niżeli rybami i nie trzymają się wyłącznie bliskości jezior i rzek. Żołny składają tam jaja w piaszczystych jamach wyłobionych wodą, zręcznie też chwytają w powietrzu pszczoły i osy; niektóre ich odmiany mają śliczną barwę piór czarnych z domieszką niebieskich i czerwonych.

Niezmierna również panuje różnaitość w gatunkach miejscowych wróbli, gołębi za to mniej daleko niżeli na wyspach Oceanii, z pomiędzy nich wyróżnia się tylko jeden osobliwy gatunek, zielony, z główką zupełnie z piór obnażoną. W miejscach bażantów spotykamy tam piękne, czubate perliczki, w miejscach kuropatw — jarząbki kryjące się w zaroślach i trzinach; tak jedne, jak drugie łatwo przyswajać się dają. Znajdują się tam jeszcze duże dropie, czaple popielate w czerwone centki na ławach piaszczystych przeciągają stada różnego gatunku kaczek, gęsi egipskich, jasno popielate siewki, czarne ibisy, marabut, pelikany i t. p.

Wśród bogatej fauny ornitologicznej w Kongo, znajdują się okazy nie widywane w innych miejscowościach, lub takie, które właściwe są tylko krajom podrównikowym, inne znów, jak ibisy i gęsi egipskie. dopływami Nilu dostają się do Kongo, wreszcie spotykamy tam i wędrowne ptaki z Europy przybyłe, jak kukulkę, czapłę, jaskółkę, piegżę, pliszkę i t. d. Ptaki te udając się na zimowe leże do Afryki, ciągną jedne przez pustynię Sahara, inne od źródeł Nilu zwracają się w stronę południowo-wschodnią, gdzie Emin pasza znalazł wiele gatunków ptaków europejskich; niektóre z nich zatrzymują się w Sudanie.



W pustyniach Australii.

PRZEZ

Władysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

XV.

CUDA PRZYRODY.

Zdarza się czasami, że rzeczywistość przewyższa najśmielsze oczekiwania. Tak właśnie wydarzyło się naszym dzielnym podróżnikom. Przypuszczali oni, że ujrzą coś bardzo ciekawego z naukowego punktu widzenia, ale to coś, dla braku jakichkolwiek wskazówek, przybrało w ich umysłach bardzo mglistą postać.

Dugan marzył o nieznanym pasmach wysokich gór, o rzekach, zlewających się do jakiegoś centralnego jeziora, o urodzajnych obszarach, położonych w sercu niezmiernych pustyni, spodziewał się, jako człowiek praktyczny, oddać znaczne usługi swym rodakom, odkrywając dla nich zdadne pod kolonizację i chów bydła stępy, lub też bogate w minerały okolice. Doktor, rzecz prosta, wyobrażał sobie krainę osobliwości, jako Eldorado dla entomologa, gdzie będzie mógł znaleźć kilkadziesiąt nieznanych gatunków owadów; Jerzy wierzył usilnie, że ujrzy wspaniałe krajobrazy, w obec których zbledną te, które podziwiał w górach Błękitnych i w Dividing Range, że znajdzie obfitujące w zwierzynę lasy, albo góry, obfitujące w złoto i drogie kamienie. Jego żywa, napół jeszcze dziecienna fantazja, malowała mu zaczarowaną krainę pełną gejzerów, wybuchających wrzącą wodą i parą z różnobarwnych zbiorników, uroczę wodospady, luczące po dziwnie upostaciowanych skałach, przepaście niezgłębione, na dnie których żyły dziwaczne twory, o których wspominał doktor Halm i tym podobne rzeczy.

Co do Abla, ten miał nadzieję, że się znajdzie w okolicach zamieszkałych przez liczne plemiona Australczyków, którzy nigdy jeszcze nie widzieli białych i nie doznali na sobie zabójczych skutków cywilizacji.

Każdy wyrobił sobie o zagadkowej krainie swoje własne pojęcie, zgodne z osobistymi zapatrywaniem, gdyż Tom i Bob nawet, szukali w niej niewyczerpanych placerów, bo dla nich cudowność nie mogła przyoblec się w inną postać.

Pokazało się jednak, że nikt nie zgadł, nikt nie znalazł tego, czego się spodziewał; szlachetne uczucia i niskie pragnienia zostały zawiedzione.

Karawana wkroczyła w dziwne okolice, będące niejako dalszym ciągiem krainy filarów piaskowcowych, tylko, że słupy nabierały tęgości, jak gdyby dzieło wietrzenia nie było tutaj doprowadzonym do tego stadyum, co gdzieindziej; w bardzo wielu punktach karawana napotykała jaskinie, sklepienie których wspierało się na takich kolumnach, a na dnie płynęły wartkie strumyki, coraz huczniejsze i liczniejsze.

Widoczne było, że wszystkie te wody dążyły do jakiegoś centralnego zbiornika, jeziora, czy też wielkiej arteryi, ginęcej gdzieś w piaskach.

Ta okoliczność budziła w Duganie błogą nadzieję odkrycia znaczniejszego rezerwoaru.

Co było jednak najdziwniejszem, to geologiczna budowa okolicy. Odrazu można było poznać, że odhyla się tutaj ów proces tworzenia galeryi podziemnych i filarów piaskowcowych, który tak żywo zainteresował naszych podróżników; chwytano przyrodę na gorącym uczynku — przy pracy.

Nad wieczorem, czwartego dnia po ucieczce pastuchów, Dugan przekonał się, że, właściwie mówiąc, ma przed sobą dwa poziomy, dwie powierzchnie ziemi, górną i dolną. Górna — to sklepienie licznych jaskiń, które napotymano po drodze, dolna — dno samych jaskiń, poprzerzynane licznymi strumykami i poorane tysiącami galeryami. Ponieważ jednak liczba grot rosła z każdym niemal krokiem, przeto w końcu górne sklepienie zamieniło się w wyższe piętro, po którym wprawdzie nie byłoby bardzo bezpiecznie jeździć na wielbłądach, lecz można by przejść od biedy pieszo.

Ostatecznie karawana ujrzała się na dnie olbrzymiej, rozciągającej się daleko we wszystkich kierunkach groty, w grubym mroku, który tylko tam ustępował światłu słonecznemu, gdzie sklepienie zawałiło się.

— Dziwna, niepojęta rzecz! powtarzał Dugan — mimowoli przychodzi mi na myśl, że posuwając się tak ciągle naprzód wkraczamy do jakiegoś podziemnego świata, w którym panują wieczne ciemności. Nie wiem, czy zawrócić, czy też śmiało wędrować naprzód; znajdujemy się w prawdziwym labiryncie, z którego nikt by się nie wydostał z największym nawet kłębkiem, całe szczęście, że mamy bussolę, bo inaczej moglibyśmy zabłądzić w galeryach.

— Idźmy, idźmy! powtarzał z zapałem Jerzy — musimy dotrzeć aż do końca tego oryginalnego kraju.

— Ależ niebawem znajdziemy się w zupełnych ciemnościach, zauważył Halm.

— To zapalimy pochodnie, odparł Jerzy.

— Z czego je zrobisz? zagadnął Abel — przecież gotowych nie mamy, a drzewa tutaj nie znajdziesz ani na lekarstwo; i tak nie wiem, czem żyją nasze wielbłądy, bo skubanie tej nędznej trawy nie opłaca fatygi.

— Rzeczywiście to ważna przeszkoda, odparł chłopiec zamyślając się; trzeba by jednak ją usunąć. No, mamy jeszcze czas; jeżeli nie zdobędziemy lampy, to cóż robić, wróćmy!.. Ciekawym tylko, dokąd nas zaprowadzi ta rzeka, przy korycie której idziemy?

— Do centralnego zbiornika, rzekł Dugan.

— A więc do jakiegoś wielkiego jeziora, które może, podobnie jak rzeka, leży na dnie jaskini.

— Jezioro musi być otwartem, gdyż inaczej nie moglibyśmy wytłomaczyć sobie jego powstania; takie groty z filarami i galeryami są dziełem strumieni.

— To prawda. Można się więc spodziewać, że kiedyś wydostaniemy się na otwarte powietrze.

— O tem nie wątpię, moje dziecko; doprawdy jednak, że i ja zaczynam myśleć o jakiej lampie, lub w ostateczności o pochodniach; w tych ciemnych jaskiniach łatwo natrafić na przepaść i połamać kości. Otóż znowu znajdujemy się pod sklepieniem.

W istocie, wielbłądy zstępowały w ziejący, wielki otwór, pomiędzy słupami, niby we wrota, prowadzące w głąb zaczarowanego zamku, parszcząc z przestachu i opierając się jeźdźcom; w półmroku, rozpraszającym przez naturalne okna w sklepieniu, widać było dookoła las filarów, gładkich od działania wody u dołu, a chropawych wyżej; oko napotykało tu mnóstwo głębszych i płytszych jaskiń, zakątków tajemniczych, które podniecona wyobraźnia uważała mimowolnie jako siedlisko jakichś dziwnych istot, chochlików, pilnujących swego obszerne, podziemnego państwa.

Było to jednak złudzenie; posępne te pustkowia nie rozbrzmiewały ani śpiewem ptaków, ani brzęczeniem owadów, ani szelestem jaszczurek, pełzających po gładko ułożonym piasku, ani nawet złowrogim głosem puszczyka, lub cichymi uderzeniami skrzydeł nietoperzy. Tylko monotony szmer i plusk rzeki, biegnącej labiryntem galeryi i filarów, przerywał głęboką ciszę śmierci. Była to kraina nowa, zaledwie wychodząca z rąk Stwórcy, gdzie życie jeszcze nie zdążyło się zapalić; długie wieki muszą upłynąć, zanim słońce rozjaśni swymi promieniami to państwo, postawione ręką Neptuna w dziedzinie Wulkanu.

Chwilami mrok zgęszczał się do tego stopnia, że podróżni postępowali po omacku, ostrożnie, krok za krokiem; często nawet zatrzymywali się, aby rozpoznać drogę; za jedyne wskazówkę służył szmer rzeki, której koryta trzymano się stale.

Raz karawana zapuściła się w wąską, niską galeryę, która niebawem zacieśniła się tak, iż musiano wycofywać się tyłem.

— Nie wiem, czy roztropnie postępujemy, zapuszczając się w ten chaos, mrucał, niezadowolony z tej podróży Halm,

— Trudno, kochany doktorze, odpowiadał mu Dugan, odważny żołnierz nie ucieka przed niebezpieczeństwem; tak samo i nam nie wypada rejterować i pójdziemy naprzód, dopóki będzie można.

— Ale już niepodobna iść dalej! zawołał uczony wymachując rękoma.

— Jeszcze się nie znajdujemy w zupełnych ciemnościach.

— Co do mnie, nic nie widzę już teraz.

— Cierpliwości, cierpliwości! Ta dziwna grota, a raczej zbiorowisko grot nie może się ciągnąć na setki mil.

Dugan wpadał w zapał, w miarę tego, im lepiej się zapoznawał ze swem oryginalnem otoczeniem; wiedział, że dzięki wypadkowi dostał się w okolice niezmiernie ciekawe. Postanowił za jaką bądź cenę zbadać je dokładnie. Głównie pragnął wiedzieć, dokąd zlewały się wody rzeki, gdzie leżał centralny zbiornik, przyjmujący te wszystkie strumyki, które przebywano od czasu do czasu.

O rozwiązanie tej zagadki warto było pokusić się, a nawet narazić na niebezpieczeństwo.

W dwadzieścia cztery godziny potem położenie karawany pogorszyło się, natrafiano bowiem, coraz częściej, na znaczne przestrzenie, zarzucone rumowiskiem sklepienia, na głębokie doły, powyrywane rozlukaniami falami wozbranych strumieni, na drżące w ciemnościach jeziora; susza ustępowała miejsca wilgoci, przesycającej powietrze. Wszędzie woda i woda. To gwałtowne przejście z pustyni pozbawionej najmniejszego źródła, do takiego otoczenia, było bardzo dziwnem. Dugan łamał sobie głowę nad tem, skąd się tutaj wzięły takie olbrzymie ilości wody.

(d. c. n.).



Przy krosnach.

Na ziemi wdziękiem jaśnieje wiosna,
Zdala od gwaru dusznego miasta,
Przed chatę sobie wyniosła krosna
Gorliwa w pracy młoda niewiasta.

Drobna dziecina, u kolan matki,
Schludnie przybrana, czerstwa, wesoła,
Rączką najbliższe zrywając kwiatki,
Jasnym spojrzeniem wodzi dokoła.

A z piersi matki święta pieśń płynie,
Praca się łączy z myślą serdeczną.
To też tak błogo lubej dziecinie,
Tak jest szczęśliwą, hożą, bezpieczną.

I ona przecież dziś jak kwiat w wiosnie,
Co go rozwiną lata upały.
Na wzór swej matki kiedyś wyrośnie,
Do cichej pracy, do Bożej chwały.

I ją wspomóż w każdej potrzebie,
Ten, co go matka swą pieśnią sławi.
On rad maluczkich wzywa do siebie
I niewinności ich błogosławi.

Kwiaty i Ćmy.

Wiele bardzo motyli dzień cały spoczywa, spi. a wieczorem dopiero wylatuje, szukając pożywienia. Takie motyle zowiemy pospolicie ćmami. Czem żywią się ćmy? Miodem zebrany w kwiatach, tak jak ich dzienni towarzysze.

Nie z każdej jednak rośliny umie ćma skorzystać.

Najprzód wiele z nich zamyka swe kwiaty wieczorem, innych znów ćma nie rozróżni w ciemności z powodu ich barwy; do tych należą wszystkie kwiaty fioletowe, czerwone i ciemno-błękitne.

Kwiaty białe i żółte, oto spiżarnie nocnych motyli; te łatwo odnaleźć; do nich też głównie zwracają się nasze ćmy.

Są też takie rośliny, które otwierają korony kwiatowe dopiero wieczorem, inne nawet po północy, na parę godzin przed brzaskiem świtu. U nas znanych jest dwanaście gatunków kwiatów, które na wzór ćmy, rozwijają się dopiero po zachodzie słońca. Wszystkie mają barwę białą lub żółtą, albo też silny bardzo zapach.

Piękną wonią odznacza się naprzykład malwa, lecz tylko po zachodzie słońca; w dzień różowo-lila jej kwiatki ściśle zamknięte, nie przyciągają zapachem, ani też nie wabią oka.

W zaroślach, koło lasów, rosną znów spore wiesiołki. Ładnie mrok ogarnie ziemię, stulone, wydłużone kwiaty wiesiołki rozwierają czteropłatowe białe-żółte korony i zaraz zjawiają się ćmy by pokosztować słodkiego płynu, zawartego w ich miodnikach. Wiesiołki noszą też nazwę świec nocnych i należą do pospolitych u nas roślin.

A powoje? W dzień niby zwiędłe to kwiaty, w nocy dopiero otwierają swe kubki, by nasycić miodem nocne motyle.

Wiciokrzewy, lepnice również w nocy rozkwitają.

Tutaj zaznaczyć tylko musimy, że u wielu odmian powojów, wiciokrzewów, korony kwiatowe nie lękają się słońca i wraz z większością roślin na noc stulają płatki do snu.

Tytoń znów dopiero wieczorem otwiera gwiazdziste białe kwiaty. Kto jednak chciałby zebrać kolekcję roślin rozkwitających w ciemności, ten musiałby udać się do krain podzwrotnikowych, gdzie mnóstwo roślin dopiero w nocy rozkłada pyszny zapach, rozkładając wielkie kielichy.

Jeżeli ćmy żywią się miodem, w nocy kwitnących roślin, to w zamian oddają one ważną przysługę swoim żywicielkom, gdyż skrzydełkami przenoszą pyłek pręcików na znamiona słupków, jednem słowem zapylają kwiaty.

O tem zapylaniu pisaliśmy już w Wieczorach, więc nie będziemy teraz powtarzać tego objaśnienia.

A M.

SYN MARNOTRAWNY

POWIEŚĆ

E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg).

Ach! ona mu była matką prawdziwą! sercem nie robiła różnicy pomiędzy przybranym synem, a własnymi dziećmi, w wyobraźni swej widział ją z tym słodkim uśmiechem na ustach, przypominał sobie tklive, pełne miłości słowa, jakie mi go żegnała po raz ostatni, polecając mu młodsze swoje dzieci, jakby w przewidywaniu rychłej śmierci. A on przysiągł jej wtedy, że będzie dla nich bratem nie tylko z imienia.

Czy dotrzymał słowa?

Po raz pierwszy sumienie odpowiedziało mu groźnie: nie!

Lucyan przyrzekł się, a obudzone sumienie zdawało się do niego przemawiać głosem zmarłej:

Nie dotrzymałeś słowa, poszedłeś drogą utracyszów i lekkomyślników, zapomniałeś o poważnych obowiązkach życia, sprawiłeś, że nazwisko, które twój ojciec otoczył czcią i szacunkiem ogólnym, o mało nie spadło do rzędu tych, które uczciwi ludzie wymawiają ze smutkiem. Patrz! na te biedne, małe dzieci, gdyby im zabrakło ojca, co by się stało z nimi? Czy miałyby z ciebie podporę i obronę, z ciebie, który jesteś sam bezużyteczny, gorzej, ciężarem ojcu, który z całą rodziną musiał zejść do niedostatku, aby pospłacać długi, zaciągnięte przez marnotrawnego syna.

Czem Julcia jest dla ojca i dla rodziny, a czem ty dla nich byłeś?

Lucyan nie starał się odpierać tych zarzutów, nie składał swej winy na innych i na nieprzyjemne okoliczności, szczerze po raz pierwszy przyznał się: jestem winny! nikt, tylko ja sam jestem winny. W tem poczuciu własnej winy, słowa ojca, które w pierwszej chwili przybycia do domu wydawały mu się tak ostre i niesprawiedliwe, teraz w obec wyrzutów obudzonego sumienia, przedstawiały mu się jako zbyt łagodne.

— Tak, mówił do siebie, zmarnowałem dwa lata życia, utraciłem szacunek ojca, pozbawiłem rodzeństwo resztek mienia. Co robić, aby złe naprawić?

Te dręczące myśli, zajmowały go przez cały czas, gdy po opuszczeniu cmentarza wracał do domu z dziećmi.

Ale napróżno trażyły go ciągle jedne i te same myśli: Co robić? nie znajdował na to odpowiedzi.



Łódki pneumatyczne.

VII.

Gdy Lucyan zbliżał się do domu, usłyszał w pierwszym pokoju głos Julci, która, jak mu się zdawało, rozmawiała z kimś głośno. Lecz uderzyło go to, że w tej głośnie rozmowie nikt drugi się nie odzywał, dopiero nadsłuchując bacznie, przekonał się, że Julcia czytała. Ale komu? Ojca widział w ogrodzie. Roztworzył drzwi i zastał Julcię z książką w ręku, ale samą, czytała z biblioteki ojca śliczną historię Thierrego: „Najście Anglii przez Normanów”.

— Myślałem, że jest kto u ciebie, Julciu, powiedział.

Julcia rozśmiała się.

— Bo słyszałeś mój głos?

— Właśnie.

E! to widzisz, ja się tak tylko egzercytuję, aby nie wyjść z wprawy, powiedziała wesoło.

Z wprawy?

— W obcych językach, bo widzisz boję się, żebym nie zapomniawsza i nie zawstydziała się, gdy potrzeba coś objaśnić Stachowi.

— Prawda, że ty go uczysz.

— Tak, tak! obcych języków trochę. Zresztą i Zochę, chociaż teraz jeszcze mała, ale niedługo trzeba będzie zacząć uczyć.

— S aś na przyszły rok pójdziesz do gimnazjum?

— Nie, ojciec go odda do szkoły realnej. Staś jest zdolny nadzwyczajnie do matematyki, pod kierunkiem ojca zaawansował bardzo w tym przedmiocie, ma też niezłe początki języków: francuzkiego i niemieckiego.

— Przez ciebie wtrącił brat.

— Cóż to wielkiego, że poduczyłam go trochę? Przecież miałam dawniej, za życia mamy, francuzkę i niemieckę, źle byłoby, gdybym tyle nie skorzystała, abym teraz ojcu nie mogła pomóc w nauce dzieci.

— Tak, ty wszystko potrafisz wytłumaczyć zupełnie naturalnie, uśmiechnął się smutno Lucyan, bo w duszy przemknęła mu gorzka myśl: gdyby ojciec nie potrzebował być spłacać za mnie długów, byłoby za co teraz opłacić nauczyciela, a ty nie potrzebowałabyś się przedewszystkiem męczyć pełnieniem połączonych obowiązków: klucznicy, praczki, gospodyni i nauczycielki dzieci.

Tylko Staś jest słaby w ruskim języku, mówiła dalej Julcia z tą serdeczną troską matczki, niespokojnej o swoje dzieci. Dla tego też ojciec zamierza wziąć do niego korepetytora, tylko nie wiem, czy na jesień rok... bo, tu westchnęła, idzie o koszt. Może się weźmie tylko ucznia na czas wakacji, żeby go poduczył trochę.

Lucyan podniósł na mówiącą oczy; zdawało się, jakby w tej chwili uderzony został jakąś szczęśliwą myślą.

— Poczaj ojciec ma brata korepetytora do Stasia? zawołał z żywością. Ja mogę Stasia poduczyć w przedmiocie w którym jest słaby.

— Doprawdy? powiedziała Julcia, i twarz jej zajaśniała na myśl, że ten postępek Lucjana dobre sprawi wrażenie na ojcu i... kto wie... może usposobi go łaskawiej względem niego.

— Czemużby nie, moja Julciu? powiedz o tem ojcu.

— Lepiej będzie, gdy sam o tem powiesz.

Na drugi dzień Lucyan zabrał się do uczenia Stasia, że zaś niebawem rozpoczęły się żniwa, a on stale wyręczał ojca w zajęciach w polu, więc lekcye odbywały się przed wieczorem. Staś był pilny i uważny, Lucyan nie miał powodu być niezadowolonym z niego, a Staś coraz bardziej przywiązywał się do starszego brata i nabierał do niego zaufania.

Julcia widząc, jaki Lucyan był dobry dla rodzeństwa, jak dzieci coraz bardziej lgnęły do niego, czułaby się bardzo szczęśliwą, gdyby... gdyby nie ten nowy powód zmartwienia, którego nie śmiała wyznać nawet sama przed sobą, a jak zwykła czynić, ilekroć miała serce smutkiem przepełnione, tak i tym razem wymknęła się z domu, aby pójść pomodlić się na grobie matki. Przybywszy na cmentarz, uklękła, pochyliła głowę główkę u podstawy pomnika, obrosłego całym

lasem kwitnących roślin, i zaczęła modlić się gorąco; wśród tej modlitwy nie czuła, kiedy łzy napętniły jej oczy i spływały po twarzy.

Długo tak klęczała i modliła się Julcia, powierzając troski swe serdeczne tej, której rady i opieki na ziemi doznać już nie mogła, a ze łzami jej spływał smutek i dziwne ukojenie wstąpiło w serce.

Po jakiej godzinie, spędzonej u grobu matki, powstała i oddaliła się cicho, wracając do domu. Uszła ścieżką zaledwie kilkadziesiąt kroków, kiedy naprzeciwko ujrzała idącego starszego brata.

— Ach mój Boże! pomyślała z przestachem, mam oczy zapłakane, Lucio pozna i może mu być przykro, gotów pomyśleć, że... z jego powodu płakałam. Co tu zrobić, mój Boże?

Ale już nic nie można było zrobić, bo Lucyan zoczywszy siostrę, przyspieszył kroku i za chwilę powitał ją wesoło. Był ubrany jak do konnej jazdy, w palonych butach i ze szpicrutą w ręku. Miał jechać po południu konno do pana S., z którego bratankiem zapoznał się w szkołach. Pan S. mieszkał w okolicy, bardzo lubił towarzystwo i co niedziela zgromadzał u siebie panów na karty.

Młody S., syn bardzo bogatego przemysłowca z Warszawy, przybywszy w odwiedziny do stryja, odnowił znajomość ze swoim kolegą i zobowiązał Lucjana, aby go odwiedzał co niedziela, dopóki będzie bawił u stryja.

Tymczasem Lucyan, zrównawszy się z siostrą, zawołał wesoło:

— A co, jakie dobre mam oczy. Jechałem drogą, zobaczyłem cię, a że Jasiek leżał sobie w rowie, kazałem mu konia potrzymać, a sam jestem, i jeżeli moja siostrzyczka zechce, to ją mogę odprowadzić do domu. A nie czekając na odpowiedź Julci, zawołał niespokojnie:

— Co ci to, Julciu? Czegoś ty płakała?

— Kiedy ja.. nie płakałam wcale... wyjąkała i czując, że zmieszania swego nie może ukryć, gotowa prawie rozplakać się na nowo.

— Przeciwnie, płakałaś, Julciu! Ty masz jakieś zmartwienie. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

— Ależ doprawdy, ja nie mam zmartwienia... Mój Luciu, nie myśl, że... Tylko widzisz że mnie takie czasem niemądre stworzenie... Odwracała głowę, żeby brat nie widział jej zapłakanych oczu.

— Aha, rozumiem! szepnął brat i z uczuciem spojrzał na nią.

— Kiedy ty nie chcesz, to ja ci sam powiem, dlaczego płakałaś, dobrze? zapytał.

— O! nie wiesz! zawołała, zdradzając się.

— Wiem, odrzekł spokojnie. Myślałaś sobie tak: pochylili się szepejąc jej do ucha. Lucyan jedzie do pana S. tam grywają w karty, to nie, bo ojciec grywa w karty i wielu innych poważnych panów, ale Lucyan zapomniawszy się niegdyś, i teraz w towarzystwie swego bogatego kolegi... może się znów zapomnieć... Tak myślałaś, prawda siostrzyczko?

— Mój Luciu! szepnęła przestraszona.

— A teraz patrz mi w oczy, Julciu, i słuchaj tego, co ci mówię: od chwili owego nieszczęsnego zapomnienia do końca życia nikt nie zobaczy nigdy kart w moim ręku, daję ci na to najświętsze słowo. Więc nie będziesz już więcej płakać z tego powodu, moje ty drogie, anielskie stworzenie!

— O Luciu! jaki ty jesteś dobry! zawołała Julcia z promieniającą twarzą. A czy mogę o twojem postanowieniu powiedzieć ojcu? zapytała po chwili.

Brat potrząsnął głową.

— To nie naprawi złego, które się stało, szepnął. Gdy myślę o tem, że przez swoją lekkomyślność utraciłem zaufanie i szacunek ojca, rozpacz mnie zdejmuję niekiedy, i dłużej tak nie wytrzymam, dodał.

Po raz to pierwszy starszy brat zwierzał się ze swoich najtajniejszych myśli przed Julcią, która miała już zupełne zaufanie ojca, gdyż tak ojciec jak i brat czuli, że młode to dziewczę posiadało rozwagę, czyniącą ją zdolną pojąć myśl

najpoważniejszą, i posiadało serce, które bardzo kochać umiało.

— O Boże! dzięki ci, że Lucio niema już żalu do ojca, że go nie obwinia o niesprawiedliwość, ani o brak serca do siebie, myślała dziewczeczka.

— Wszystko to, co mówił powtórzę ojcu, dodała w duszy, i będę go prosić... będę go bardzo prosić..

Ręczy jak sarenka pomknęła po rozstaniu się z bratem ścieżką ku domowi. Na progu chwyciła na ręce biegnącą naprzeciw siebie Zochnę i okryła ją pocałunkami, poczem weszła do gabinetu pana Rodowskiego. Zastała ojca zajętego czytaniem książki, którą na jej widok odłożył na bok.

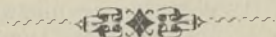
— Cóż mi powiesz, rzekł, uśmiechając się łagodnie do wchodzącej córki,

— Nic drogi ojcze, odpowiedziała, spuszcżając oczy.

— Może poczytamy sobie dzisiaj znów trochę?

— Dobrze.

(d. c. n.)



ŁÓDKA PNEUMATYCZNA.

Jest to łódka bez wiosel i żagli, rodzaj przyrządu do pływania w postawie stojącej i to bez obawy zamoczenia siebie lub ubrania.

Przyrząd ten świeżo obmyślił Francuz, pan Layman, dla wygody amatorów polowania na wodne ptactwo, lub też osób lubiących łowić ryby na wędkę.

Cała łódka ma wygląd worka kauczukowego, otoczonego przy otworze grubym wałkiem kauczukowym. Ten wałek pusty w środku, za pomocą maszyny pneumatycznej nadymany powietrzem. Teraz możemy puścić się na wodę. Stajemy w worku, którego dno opatrzone jest na zewnątrz małymi skrzydełkami, czyli paletami ze stwardniałego kauczuku, te palety zastępują nam wiosła; każdy ruch nogi prawej lub lewej porusza odpowiednio palety. Póki czujemy grunt pod nogami, spacerujemy po wodzie, lecz jeśli trafimy na głębiny, wtedy utrzymuje nas na powierzchni wody wałek z kauczuku; wiosłując zaś nogami i poruszając w odpowiedni sposób sterem płyniemy w żądanym kierunku.

Zmęczyła nas już wreszcie ta wycieczka po wodzie, chcielibyśmy odpocząć. I na to jest rada; na wałku bowiem doskonale można usiąść i nieruchomym pozostać póki taka nasza wola.

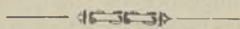
Dołączona rycina przedstawia właśnie widok kilku osób, które siedząc w swoich łódkach, łowią ryby.

Dodać jeszcze trzeba, że dla bezpieczeństwa spacerowiczów wałek kauczukowy ma cztery przedziały, które nie łączą się z sobą, każdy z nich nadyma się osobno powietrzem. Gdyby więc, wskutek jakiego wypadku rozdarły się: jeden, dwa lub trzy przedziały wałka, to pozostały utrzymałby jeszcze łódkę z właścicielem na powierzchni wody.

Każdy wynalazek dopiero przy praktycznem zastosowaniu wykazuje swą wartość. Przyrząd pana Laymana może też mieć swoje wady, pomimo wielkich zalet, które pozornie posiada.

Jeśli grunt stawu lub rzeki jest, dajmy na to, kamienisty, dno worka łatwo się przetrzeć może, a palety połamane o kamienie na nic się też nie przydadzą.

Przyszłość pokaże, o ile nowy przyrząd pływacki może być wygodny i pożyteczny.



CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

OD WYSPY DO WYSPY.

Mimo pozornie niczem niezagrożonego spokoju i szczęścia, jakie zapanowało na Standard-Island od czasu mianowicie, gdy jawna nieprzyjaźń rodów i partyi, może pod wpływem uczuć zbudzonych w sercach Waltera i miss Dyany, coraz widoczniej się zacierała, straszna groźba zniszczenia zawisała nad Cudowną wyspą.

Bo nie wypadek to żaden, rzucił przebiegłych malajczyków na sztuczną jej ziemię, ale zdawna ukartowana i przeprowadzona intryga. Kapitan Sorel nie jest bynajmniej człowiekiem cichym i skromnym, za jakiego przedstawił się władzom w Miliard-City, lecz, jednym z tych typów dzikich i krwiożerczych, które, według zdania marynarza Hagon, nie są wyjątkami wśród mieszkańców Nowych Hebrydów. Od najmłodszych lat, wyćwiczony w rzemiośle rozbójnika morskiego i handlarza niewolnikami, nabrał wraz z doświadczeniem, dziwnej giętkości i przebiegłości, tak, że nazwisko jego stało się sławnem, nawet wśród dzikich malajczyków, jako najśmielszego z opryszków.

W zeszyły już roku, wieść o krążącej między dwoma zwrotnikami Cudownej wyspie i o nagromadzonych bogactwach w jej stolicy, obudziła w nim pragnienie zdobycia sobie jednym zamachem miliardów całego świata.

Oczywiście, nie trudno mu było znaleźć sobie towarzyszy, godzących się na wszystko, dla tak ponętnych widoków.

Ułożono zatem plan śmiały i ryzykowny nieco, lecz bądź co bądź możliwy do przeprowadzenia.

W charakterze więc skromnego kupca, dostawiającego żywicę, przybył do portu Honolulu w czasie, w którym, według zaczerpniętych, trudno pojąć jaką drogą, lecz bardzo dokładnych wiadomości, mógł się spodziewać zetknięcia z pływającą wyspą. Wiemy, jak go rachuby nie omyliły, jak nawet powiodło mu się szczęśliwie udać rozbicie, by zostać gościnnie przyjętym, przez tych właśnie, przeciwko którym miał w pogotowiu plany dziekiej zdrady, mordu i łupieży. Cała bowiem historia o spotkaniu parowca zmyśloną tylko bajką była, gdyż do zagłady statku niegodziwcy ci własne tylko przyłożyli ręce.

Jeżeli przeprowadzenie pierwszej połowy planu powiodło się tak szczęśliwie, jeżeli bez żadnych trudności, nie strzeżeni przez nikogo, badają położenie wyspy, jeżeli nadto otrzymali obietnicę, iż Standard-Island odwiedzie ich aż do ojczyścich brzegów, co właśnie było kwestią najważniejszą, czyż zdziwi nas, że kapitan Sorel uważa w cichości ducha sprawę całą za wygraną.

— Niechże nas tylko choćby do wyspy Eromango dowiozą, za resztę ja odpowiadam, powtarzał nieraz swym towarzyszom, gdy się włóczyli z nią niby to obojętną, po wszystkich kątach wyspy. Skoro tylko tam staniemy, spowoduję zniwienacka kilkotysięczny tłum, który łatwo da się zwać obietnicą bogatych łupów, a zaciągnięta między ostre skały wyspa, niezdolna będzie stawić oporu spienionym tam zawsze bałwanom; żelazna jej podstawa rozstrzaska się w kawałki, a wtedy mieszkańców wyrzniemy i wszystkie te bogactwa staną się naszą własnością.

Nieświadomi jednak grożącej im strasznej katastrofy, mieszkańcy Miliard-City, ciesząc się otaczającymi ich warunkami dobrobytu i szczęścia, zbliżali się do grupy wysp

Samoa, które zwiedził w 1768 r. Bougainville, a następnie Laperouse i Edwards.

Wysunięta najwięcej od strony północno-zachodniej skalista i pusta wysepka „Rose” nie budzi naturalnie żadnego w nich zaciekawienia; również obojętnie mijają Manuę na której niegdyś zginęło okrutną śmiercią kilku towarzyszy Cooka. Dopiero u brzegów ślicznej Tatuili myśli się zatrzymać komandor Simoe.

Gdy wieczorem d. 14 grudnia artyści francuscy używali przechadzki nad brzegiem wyspy, zdziwieni zostali nad wyraz miłą, aromatyczną wonią, którą im przyniósł lekki wieczerzyk wieczorny od strony lądu.

— Ach przyjaciele, — zawołał Ponchard, toż nie wyspa żadna leży tam opodal, to jakaś wielka fabryka perfum, to magazyn Puvera...

— Jeżeli jego Ekscelencyja nie ma nic przeciwko temu wołałbym, aby to była starożytna amfora, — zauważył Yvernes.

— Niechże będzie amfora, gdy ci to przyjemność ma zrobić, kochany poeto, odpowiedział Ponchard, z lekko drwiącym uśmiechem.

— Rzeczywiście, odezwał się Francolin, ten zapach roślin egzotycznych nadzwyczaj jest przyjemnym, musi to być ten sam, który Samończycy „mosooi” nazywają, a który jest szczególną własnością tych ziem jedynie.

Wygląd ogólny wyspy podziwiany nazajutrz w pełnym oświetleniu słonecznym, jest iście czarującym, ze wspaniałą roślinnością pokrywającą wzgórzystą powierzchnię gruntu. Zbliżając się do portu Papo-Pago Cudowną wyspę, otoczyły liczne długie pirogi, mogące pomieścić każda mniej więcej sześćdziesięciu ludzi, którzy robiąc wiosłami w takt melodyjnie śpiewanej pieśni, tworzą wspaniałą eskortę przybywającym gościom.

Widząc ten ruch i życie w okół, nie trudno pojąć, dla czego Europejczycy nazwali te ziemie archipelagiem wysp Zeglarskich.

Jeżeli w obecnej porze klimat tutejszy przedstawia istotnie wymarzone warunki, to z nadejściem lutego panują tu nadzwyczajne upały, poczem w kwietniu i maju nadechodzi pora deszczowa z gwałtownymi i niebezpiecznymi burzami. Mimo tego handel zostający początkowo w ręku Anglików, następnie Amerykanów, a obecnie Niemców przedstawia się dość zyskownie, mianowicie od czasu, gdy wprowadzona uprawa bawełny świetnie wydaje rezultaty.

Wśród miejscowej ludności malajskiej żyje mała tylko garstka Europejczyków, więcej natomiast spotkać tu można przybyszów z innych wysp Polinezyi, między pracującą klasą roboczą.

Pięknie i silnie zbudowani krajowcy nie porzucili dotąd dawnych swych obyczajów odnośnie do okrycia, albo, ściślej mówiąc, ozdoby ciała. Ubranie ich całkowicie stanowi bowiem najczęściej jedynie lekka tunika spleciona z traw i liści, a na odsłoniętych piersiach i ramionach widnieją różne znaki tatuowania, cieszącego się tutaj jak najlepszym jeszcze uznaniem, a czarne ich, mocno skrepowane włosy, bywają chętnie pokrywane tak grubą warstwą wapna, że wyglądają raczej na jakieś białe peruki. Zwiedzając wyspę, artyści zatrzymywali się z wielkim zdziwieniem przed każdym spotka-

nym krajowcem, mając, bodaj pierwszy raz, sposobność w ciągu dotychczasowej podróży podziwiania ludności, na której stara cywilizacya słabe dotąd wycisnęła piętro.

— Oto dżicy przybrani w stylu Ludwika XV-go zawołał wesoło Ponchard, brakuje im jedynie fraka ze świecami guzikami oraz długich pończoch i pantofelków na wysokich czerwonych obcasach.

— Zapominasz o koniecznych jeszcze do całości lekkich szpadach i kapeluszach z piórami, dorzucił Yvernes.

Z cerą dobrze wypieczonego sucharka młode Samoanki są rzeczywiście tak piękne, że tłumaczę w zupełności słowa zachwytu, jakimi ich darzą wszyscy podróżni w swych pamiętnikach i notatkach; a jakkolwiek, zarówno jak u mężczyzn, ubranie ich jest bardzo niedostateczne, objawiają wielką skromność w zachowaniu, co im nadaje jeszcze szczególnego wdzięku,

Ponieważ Standard Island zatrzymała się u szerokiej zatoki Papo-Pago, gdzie też urządzony jest wygodny port zdolny pomieścić kilka, a nawet kilkanaście okrętów, przeto ludność Miliard-Citty poczęła się niezwłocznie przeprawiać na ten ląd uroczy, nie znalazłszy tym razem żadnych trudności ze strony uprzejmej władzy miejscowej; że jednak nie Tetuila, ale jej sąsiadka Upola jest rezydencją monarchy rządzącego Archipelagiem, zatem przybyli wolni od wszelkich ceremonii prezentacji i oficjalnych wizyt, używają w całej pełni swobody, zwiedzając w różnych kierunkach wyspę, aż do leżącej w głębi największej wioski, Leonii.

— A więc drodzy przyjaciele, mówi niezwykle rozpromieniony Kalikstus Munbar w czasie jednej z wycieczek, które odbywa w towarzystwie Koncertującego Kwartetu, zdaje mi się, że niedługo rozegranym zostanie ostatni akt naszej opery komicznej. Bo oto dobrane kółko miliardowiczów urządziło sobie śliczny spacer powozowy w głąb wyspy; Coverley'e i Tankerdony jechali obok siebie z przyjaznym uśmiechem na ustach. Drobnym wypadek jaki, wywrócenie pojazdu, lub rozbieganie konia...

— Albo też napad rozbójników... wtrącił Yvernes.

— I ogólna rzeź... — dorzucił z komiczną miną Ponchard.

— I to się przytrafić może... zabrzniał niskim basem grobowy głos wiolonczelisty.

— O nie przyjaciele, nie szukajmy scen mordu i krwi rozlewu, bo to już na tragedję zakrawa, nam wystarczy drobna tylko przygoda, w którejby Walter był o tyle szczęśliwym, by mógł uratować życie uroczej miss Dyanie.

— A na tem tle trochę muzyki Boieldieu albo Auber'a dokończył Ponchard naśladując ruchem ręki obracaną korbę katarynki.

— Więc zawsze równie gorąco pragniesz pan tego małżeństwa? spytał Francolin.

— Czy pragnę? Boże mój! Ja o nim marzę dniem i nocą, ja tracę humor, chudnę...

— Nie jest to zbyt widocznem, — wtrącił Ponchard.

(d. c. n.).

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Ptaki w Kongo (z drzew.). — W pustyniach Australii, przez Władysława Umińskiego. — Przy krosnach wiersz, przez E. L. (z drzew.). — Kwiaty i śmy przez A. M. — Syn marnotrawny, powieść przez E. Jerlicza. — Łódź pneumatyczna, (z drzew.). — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — **Dodatek:** Pod liściem łopianu, wiersz przez E. L. (z drzew.). — Pogadanka z wujaszkiem. — Kocha, lubi, nie lubi, przez K. B. — Dzielnny Julek, przez Marzannę. (dokończenie). — Szarady, łamigłówki i rozwiązania — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Na dworze landgrafów Turynгии, opow. Teresy Jadwigi.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Дозволено Цензурою, Варшава 19 Августа 1895 г. Wydawczyni **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

WIECZORY RODZINNE



POD LIŚCIEM ŁOPIANU.

Już słońko z wschodniej dogrzewa strony,
Jasno, aż cieszyć się dusza.
Nie mam od niego żadnej osłony,
Wybiegłam bez kapelusza.
Ale z pomocą przyjdzie niebodze,
Zawsze myśl jakaś do głowy.
Zerwałam wielki łopian przy drodze,
Ot i słońcechron gotowy!
Czyż parasolka lepszą być może,
Choćby najdroższa na świecie?
Jaką za pieniądź o każdej porze,
Po sklepach w mieście znajdziecie!
A z mym łopianem, cóż pieniądź wskóra,
Któż go na świeży zamieni;
Gdy go jak zwykle matka natura
Obsypie szronem w jesieni?
Śliczny słońcechron! a jaki duży,
Nikt mi go użyć nie wzbrania.
A jak mi teraz wybornie służy,
Szyję i głowę zasłania.
A choć tam nawet jakiś promyczek,

Przez tę osłonę przeleci,
To pewnie jeszcze, pogodnych leczek
Ciemniejsza pleć nie oszpeci.
Wszakże z tęsknotą w sercu nie mała,
Gdy zwiędną liście i kwiatki;
Znów będę miała twarzyczkę białą,
Jak białe śniegu są płatki.
Ach sroga zima! lecz dobry Boże!
Któż twoją wolę odwróci?
I ja ją także przyjmę w pokorze,
Choć myśl mnie o niej dziś smuci.
I gdy nadejdą przykre te chwile,
Z sercem tęsknotą wezbranem.
Przypomnę sobie jakim się mile
Słońku broniła łopianem.

E. L.

POGADANKA Z WUJASZKIEM.

P I E S.

W kancelaryi wuja, na małym dywaniku rozłożonym w kącie pokoju spoczywał wygodnie olbrzymi czarny pies, z pięknej new-foundlandzkiej rasy, faworyt pana i wielki przyjaciel Władzia.

— Dziś nie pójdziemy na dziedziniec mój piesku, mówił chłopiec siadając obok na ziemi, dzisiaj deszczyk pada zmoklibyśmy obadwaj.

Zwierzę spojrzało na chłopca i jakby rozumiejąc jego mowę zaskomlało przyjaźnie.

— Lord jest dobrym i mądrym, ciągnął dalej Władzio, więcej nawet, niż od pieska wymagać można, ale cóż kiedy choćby gadać umiał, nie mógłby mi odpowiedzieć na wiele różnych pytań. Już to trzeba mi cierpliwie czekać powrotu wujaszka, on mi to wszystko najlepiej objaśni.

— A czego to mój siostrzeniec pragnie się dowiedzieć? zapytał wuj, który wchodząc do pokoju słyszał ostatnie słowa chłopca.

— Ach wujaszku tak dużo, że aż się lękam rozpocząć, bo to może potrwać długo, a wujaszek pewnie zmęczony.

— Nie tak bardzo znowu, bym nie mógł jaką godzinkę porozmawiać z tobą.

— Jakże to dobrze, bo widzi wuj, ja tu siedząc myślałem ciągle jakim sposobem tak różne zwierzęta jak „Zozo”, mały pinczerek babci w Warszawie, i ten ogromny „Lord” wujka zarówno oba psami nazywać się mogą. Czyż one naprawdę, jak to wuj nazywa, jedną tworzą rodzinę, bo przecie niczem, ale to niczem do siebie nie są podobne.

— Tak ci się tylko wydaje moje dziecko, bo naukowo biorąc, istnieją między nimi niezaprzeczenie te same cechy charakterystyczne, jakie już poznałeś u różnych odmian koni lub bydła rogatego.

— No, tam przynajmniej nie trudno było mi pojąć, ale tutaj...

— Gdybyś jeszcze więcej znał gatunków psów domowych, pewny jestem, że tym większe byłoby twe zdziwienie, niema bowiem w całym świecie zwierzęcym takiej różnorodności w budowie ciała, wzroście, kolorze i gatunku sierci, kształcie pyska, a nawet ogona, jak wśród psów domowych. A jak rozmaita jest ich powierzchowność tak też odmiennymi odznaczają się przymiotami, służąc człowiekowi na całej kuli ziemskiej w różnych jego potrzebach i zajęciach. Silne więc i złe brytany strzegą dobytku naszego, są to najczujniejsi stróże nocy.

— Więc Zagraj i Śpiewka, co leżą w budzie, przy stajni, to są brytany, prawda wujku?

— Najniezawodniej; obok nich stawić możemy dla równej usługi, choć powierzchownie różnego od nich kundla, którego poznać możesz przy każdej zagrodzie na wsi. Niemniej pożyteczne są psy owczarskie i wszelkie gatunki psów używanych do łowów, począwszy od ogarów i chartów które gonią zwierzyńcę, do zmyślnych wyźłów i krzywonogich jamników. Więcej już dla przyjemności hodowane są niezgrabne i ciężkie „dogi” oraz wszystkie odmiany drobnych piesków pokojowych, a więc mopsów, pinczerków, szpiców albo małych angielskich charcików które pędzą żywot w zbytkach i pieśczościach.

— Ach przypominam sobie, raz spotkałem na ulicy w Warszawie takiego, zdaje się, charcika; jaki on był śmieszny. Prowadzony na wstążeczce przez swą panią, ubrany był w jakiś strojny czapraczek i wyglądał szkaradnie, zupełnie jak małpeczka jaka; nieprawda wujaszku, że małe pieski są brzydkie, że stokroć miłszy każdemu być może taki Lord wspaniały.

— Różne są gusta i upodobania na świecie, zresztą Lord nie tylko, że jest psem pięknym, jest jeszcze nadto zmyślnym i w potrzebie może być bardzo pożytecznym.

— O, to jest pocziwy, dobry piesek, on uratował życie tonącemu w rzece Frankowi...

— Właśnie o tem chciałem z tobą mówić, otóż psy z rasy newfoundlandzkiej inaczej wodolazami zwane, umieją doskonale pływać, mając między palcami nóg błony podobne do tych, jakie widzisz u kaczek lub gęsi. Przyuczone za młodu, rzucają się w najwięcej wzburzone fale wód, by z nich wydobyć i na brzeg wyciągnąć nieszczęśliwych tonących. Również nieoszacowane są psy św. Bernarda w Szwajcaryi, wyszukujące ze zmyślnością nie-zrównaną zasypanych śniegiem podróżnych, ogrzewając zmarzniętych ciepłem własnego ciała póki ich do życia nie powrócą.

— Prawda wujku, że nie wszystkie psy równie są mądre.

— Psy nie mają rozumu, tylko zmyślność i pojętność; oczywiście, że przymioty te w różnym ukazują się stopniu u pewnych gatunków. Do najpojętniejszych zaliczają ogólnie, krętym włosem porośłe pudle, które wyuczyć się dają różnych sztuczek wymagających wielkiej bystrości, tak, że nieraz wprawiają nas w zdumienie, gdy

poznają na zegarach wskazywane godziny, lub zliczają na tablicy wypisane cyfry.

— Ale psy nie są używane do żadnej pracy?

— Owszem mój mały, są kraje w których człowiek używa je jako juczne i pociągowe zwierzę. U nas rzadziej z tem spotkać się można; częściej jeszcze praktyczny Niemiec zaprzęga psa do swego wózka z drobnym towarem, który rozwozi po ulicach miasta; u Eskimosów jednak, ludu mieszkającego na dalekiej północy gdzie lody i nieprzebyte śniegi pokrywają ziemię, zakrywając wszelkie ślady komunikacji. tam pies oddaje człowiekowi te same usługi, których my tutaj wymagamy od konia. Wybierając się w drogę wśród śnieżystych zamieci, Eskimos zaprzęga do swych sani po kilka lub kilkanaście psów, a całej tej sforze przoduje jeden najdoświadczeńszy już w podobnych podróżach, wybierając miejsca łatwiejsze do przebycia. Wzrostem nie zbyt wielki, z siercią latem ciemniejszą zimą prawie białą, pies Eskimosa utrzymuje się na powierzchni śniegów lub cienką skorupą lodu pokrytych rzekach, i w takich warunkach, w którychby koń żadną miarą nie podołał, przebywa znaczne przestrzenie. Nadto wyżywienie jego nie jest zbyt kosztowne, kawałem suszonej ryby zadawalnia się w zupełności.

— To psy jedzą też ryby, wujku?

— Jedzą każde mięso, bo należą do wielkiego działu zwierząt drapieżnych, — ale oto wzywają nas na obiad, innym już razem pomówimy jeszcze o psie domowym i pokrewnych mu gatunkach dzikich zwierząt.

Kocha, lubi, nie lubi.

Reginka od rana czegoś grymasi. Co jej się stało, niewiadomo; wszystko dziś złe, niedobre; woda za zimna, buciki źle oczyszczone, sukienka zbyt zniszczona, a bułeczki nie świeże.

Po śniadaniu odbywa się zwykle czytanie z mamusią; Reginka lubi je bardzo, mamusia takie śliczne powiastki potrafi wynajdywać dla swej pociechy. A co przytem zawsze rozmów, opowiadań i śmiechu!

Lecz dziś lekcya ta przechodzi jakoś cichutko i spokojnie, a braciszek młodszy Wicio spostrzega zdumiony, że wychodząc z pokoju mamy, Reginka ma oczki zaczerwienione.

— Co ci się stało Reniu, czy oczki cię bołą? pytał troskliwie.

— Nie, nie!, odpowiada Reginka, uciekając czemprędzej do ogrodu, by nie mógł zobaczyć łez płynących po jej twarzyczce i nie domyślił się wszystkiego.

O! bo ona czuje już teraz, jak była niegrzeczną, i jak wielką przykrość zrobiła swej kochanej mamie; smutno jej też bardzo i dlatego płacze.

— Czy mamusia kocha mnie jeszcze? oto pytanie, które sobie powtarzała dziewczynka ciągle od chwili rozmowy z mamą, bo też nigdy jeszcze nie słyszała tak surowych wyrazów od niej i nigdy tak poważną nie była. ta jej mama ukochana jak dzisiaj.

— Czy mama mnie jeszcze kocha? myśli dalej przechadzając się po ogrodzie, wzrok jej machinalnie błądzi po kwiatach, lecz Reginka o kwiatach i zabawie nie myśli, tylko o mamie swojej...

Wtem spostrzega duży polny rumianek, zrywa go, bo ciekawa jest co on jej na to pytanie odpowie.

— Kocha, szepcze obrywając pierwszy płatek, ach żeby to wypadło kocha, — „lubi”, nie ja wołę być kochaną... A może mamusia nie chce takiej córeczki i nie lubi jej wcale?

Coraz to prędzej obrywa Reginka śnieżne płatki, które obsypują jej sukienkę, coraz szybciej powtarza, kocha, lubi, nie lubi, a gdy ostatni listek obrywa, uśmiecha się radośnie i biegnie do domu. Zadowolona już wpada do pokoju mamy, a widząc ją przy oknie rzuca się jej na szyję wołając:

— Już wiem, że mamusia mnie kocha, kwiatek mi powiedział, więc prawda?

Mama spogląda zdziwiona na dziewczynkę, lecz spostrzegłszy parę białych płatków na sukience, domyśliła się wszystkiego i całując ją powiada:

— Niepotrzebnieś pytała o to kwiatka, Reginko, ja cię zawsze bardzo, bardzo kocham i dlatego jest mi tak przykro, gdy się źle sprawujesz.

— Mamusiu, już będę grzeczną zawsze, tylko nie bądź tak smutną jak przed chwilą, odpowiada szeptem dziewczynka, tuląc się do swej mamy jedynej.

Czy dotrzymała słowa? spytajcie o to Wicia, który nigdy inaczej o niej się nie odzywa jak: „moja kochana, dobra Reginka”

K. B.

Dzielny Julek

przez

Marzannę.

(Dokończenie).

POWRÓT OJCA.

Nareszcie po dziesięciu miesiącach, wrócił pan Żeliborski do rodziny.

Postarzał się troszkę, wychudł, ale zawsze był równie wesół i kochający. Opowiadał im swoje przygody myśliwskie, bo w odwiecznych litewskich lasach polował na dziki i niedźwiedzie i przywiózł mnóstwo podarunków dla dzieci. Interes, z powodu którego jeździł, udał mu się znakomicie, to też wynagrodzenie jakie dostał, zapewniało spokojny byt całej rodzinie.

Dopiero teraz żona opowiedziała mu o postępku Kazia, bo pocóż go miała niepokoić opisując to zdarzenie, kiedy szczęśliwie wszystko już minęło. Mówiła mu dużo o Julku, o uprzejmości pana Wolińskiego, który im wyświadczył tak wielką usługę. Opowiadając wszakże o przegodzie Kazia, pokryła milczeniem jego niesłuszne oskarżenie i brak odwagi.

Kazio ocenił jej delikatność, a kiedy wuj nie mógł zrozumieć poco Julek chodził do pana Wolińskiego, chłopiec zawołał: Nie wujaszku, ja muszę wszystko dokładnie opowiedzieć jak było. I rzecz całą przedstawił ze szczegółami, nie zapomniał przytoczyć ani jednego faktu, który świadczył przeciw niemu, chwalił Julka, siebie nie oszczędzał.

Zdziwił się też niepomału jak skończył, gdy wuj wziął go za rękę i rzekł: Prawda żeś źle postąpił Kaziu, teraz przecież to źle nagrodziłeś.

A Julkowi, który przyszedł życzyć mu dobrej nocy szepnął na ucho: pocziwy z ciebie chłopiec Julku.

ZAKOŃCZENIE.

Lata mijaly, a z każdym upłynionym rokiem pan Woliński coraz więcej przywiązywał się do Julka. Łożył na jego wykształcenie, bo mówił, że nie mając własnych dzieci chce chociaż komuś być użytecznym na świecie. Cieszył się też na równi z rodzicami, kiedy wyszła pierwsza książka młodego pisarza, i zyskała sobie ogólne uznanie. Za pierwszą poszła druga, potem trzecia, aż nareszcie Julek został znanym i cenionym autorem.

Kazio wstąpił do marynarki i dzięki nauce i sumiennej pracy, został kapitanem w młodym jeszcze wieku. Wtedy mógł urzeczywistnić dziecinne marzenie i zwiedzać odległe części świata. Do bieguna jeszcze się jednak nie wybrał, ale na południowych morzach przeżył niejedną groźną chwilę.

Jadzia jest prawą ręką matki, zawsze wesół i pracowita, a mały Władzio wyrósł na dużego chłopca i zamierza być prawnikiem jak ojciec.

Julek i Kazio witają się zawsze z radością, bo z wiekiem węzły ich przyjaźni stają się coraz ściśsze. Nie raz, gdy rozmawiają o dawnych czasach, Kazio mówi: Mieliśmy dziwne pojęcia o bohaterstwie! Teraz wiem, że bohaterem jest ten, kto zawsze i w każdej okoliczności postępuje według przykazań Boskich, nie oglądając się na niebezpieczeństwo.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożył Wróbelek.

Z następujących sylab: sa—lal—in—wie—in—nie—sku—kró—ir—mo—ka—ster—niec—dye—bo—ta—le—tysz—lub—rów—ri—wiec — ułożyć dziewięć wyrazów, których początkowe i końcowe litery utworzą nazwiska dwóch znanych, współczesnych artystów muzyków.

Znaczenie wyrazów: 1) Człowiek myślący tylko o sobie. 2) Zabawka dziewczynek. 3) Rzeka w Prusach wschodnich. 4) Równianka z kwiatów lub liści. 5) Wschodnio azjatyckie kraje. 6) Fabryka majolików blisko Warszawy. 7) Miasto w Albanii. 8) Miasto nad rzeką Pregel. 9) Rzeka w zachodniej Syberii.

*Jagny lub
lalka*

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

ułożył Kielczanin.

- 1) Samogłoska.
- 2) Zaimek pytający.
- 3) Wyspa na m. Śródziemnem.
- 4) Przyprawa do ciasta.
- 5)
- 6) Rzeka w Ameryce połud.
- 7) Nazwa stanów dziedzicznych na wschodzie.
- 8) Ruch zwierząt skrzydlatych.
- 9) Spółgłoska.

Środkowy wiersz, oraz środkowe litery złożyć po-
winny nazwisko wynalazcy maszyny parowej.

ZAGADKA.

Napisać liczbę 100 przez cztery 9.

SZARADA.

E. L.

*Pierwsze z trzeciem to znane dżdzu łaknące ptaki,
Drugie z trzeciem mieć pragnie w życiu człek wszelaki,
Wszystko bywa rozliczne, lecz dziwne w istocie,
Bo wielkie mało znaczy, drobne warte krocie.*

ROZWIĄZANIE DO N-ru 34

Zadania konikowego:

Czego się zrazu skorupka napije,
To się z niej potem nigdy nie wymyje.

Zagadek: Ma — lina. Pa — procie.

Łamigłówki w trójkącie:

E l ż b i e t a
L i g n i c a
Ż r ó d ł a
B a n a n
I b i s
E r a
T a
A

ROZWIĄZANIE DO N-ru 35 go.

Łamigłówki krzyżowanej:

R	u	g	i	a
R	y	l	s	k
M	e	k	k	a
N	y	a	s	a
R	z	e	k	a

Skrzynka do listów.

Masz słusność *Władziu Z.* że zarówno torf, jak węgiel ka-
mienny są szczątkami dawnej na ziemi roślinności: odmienny jed-
nak ich pozór zewnętrzny, tłumaczy nam geologia t. j. nauka o zie-
mi, tem, że pokłady węgla kamiennego powstały w jej łonie w ciągu
wielkiej liczby lat, z olbrzymich przedpotopowych lasów; tymczasem
niezbyt głęboko sięgające pokłady torfu, tworzyły się w nowszych
już czasach, przeważnie z mchów i traw rosnących na trzęsawiskach,
pozostałych z wysychających powoli rozległych jezior. Łatwiej też
w torfie, niż w węglu sprawdzić możesz na oko to organiczne jego
pochodzenie, bo jeżeli weźmiesz do ręki bryłkę z niezbyt głębokiego,
a więc młodszego jeszcze pokładu, i przyjrzyś się jej uważnie, to
gołym nawet okiem zauważysz, iż składa się ona z mnóstwa żyłek
i gałązek roślinnych, złączonych z sobą czarną i kruchą materią,
która paląc się dobrze, nie jest ziemią, lecz osadem powstałym
z przegniłych w wodzie roślin. Im głębiej sięgniemy po torf, tym
zbitszą i jednolitszą otrzymujemy masę; to też często spotykamy
się ze zdaniem, że torf jest młodym węglem kamiennym. Najobszer-
niejsze ze znanych torfowisk posiada Irlandya, u nas zaś okolice
tak zwanego Polesia, jakkolwiek torfowiska nie rzadkie są również
w innych stronach kraju, stanowiąc prawdziwe bogactwo dla tych,
które nie mają już dostatecznie opałowego drzewa.

W imieniu ubogich dzieci, dziękuję ci kochana *Pliszko* za
zeszytek z obrazkami, który przysłałaś. Pewną jestem, że będzie
on miłą zabawką dla małych biedaków, bo obok tego, że obrazki
są bardzo ładne, widocznem jest szczególne staranie z jakim były
naklejane. Życząc ci najlepszego zdrowia pozdrawiam cię mile jak
i twoje rodzeństwo.: „Ola Marszałka, Isię i maleńką Marysię”, któ-
rym powiedz, że Jaskółka bardzo kocha dobre małe dzieci, i szcze-
rze ucieszyła się, że Olo już wcale nieźle atramentem pisać umie.

Wielką przyjemność zrobiłaś mi *Różowa lewkonjo* pierwszym
swym listem, sądząc też, iż słusznem będzie, gdy wynagrodzimy so-
bie dotychczasowe milczenie częstszą korespondencją, gdy się już
skończą te uroczne wakacje, a braciszek i siostrzyczka do szkół
wyjadą, zostawiając lewkonijkę samotną na rodzicielskiej grzędce.
Tymczasem przyjmijcie wraz z *Gałązką heliotropu* przyjazne po-
zdrowienia.

Pieniężną przesyłkę *Janinki R.* Redakcja otrzymała, życzo-
ne dodatki wysłane, rozwiązanie łamigłówek dobre.

Łamigłówki *Wróbelka* i *Jerzego K.* może będą drukowane
gdy przyjdzie na nie kolej, tymczasem o cierpliwe układanie in-
nych prosi

Jaskółka.